

## Moralne podstawy ustroju społeczności międzynarodowej

Anarchia, w której dotąd żyła społeczność międzynarodowa, narażała ją periodycznie na wstrząsy, wśród których ostatnia wojna była najstraszliwszym. Właśnie dlatego stała się ona dla każdego myślącego człowieka bodźcem do krytyki obowiązujących dotąd podstaw moralnych i prawnych ustroju społeczności międzynarodowej. Odpowiedzialni za dalsze jej losy mężowie stanu przyłączyli się również do tej krytyki. Owocem jej karta Organizacji Narodów Zjednoczonych opracowana w San Francisco.

Niezależnie jednak od podstaw prawnych, które w niej wyraz znalazły, zachodzi pytanie, czy jakiegokolwiek prawne normy zdołają skutecznie zastąpić dotychczasową anarchię, dopóki powszechnie nie ugruntuje się przekonanie, że zasady moralne obowiązują nie tylko w życiu prywatnym, ale i publicznym.

Z doświadczenia przecież wiemy, że normy prawne w małym tylko stopniu pobudzają ludzką wolę do zgodnego z nimi postępowaniami; pobudką w tym względzie bez porównania silniejszą są normy moralne. Mądrość Rzymian dała piórem Horacego wyraz tej wyższości norm moralnych w lapidarnym zdaniu: *Quid leges sine moribus?* Kto jednak żąda sprowadzenia moralności w stosunkach między państwami do jednego mianownika z tą, która między jednostkami obowiązuje, musi zastanowić się, jaki jest stosunek tej normy postępowania, którą państwa kierują się pod postacią racji stanu, do norm moralnych. Jeżeli racją stanu nazwiemy cel, który w dłuższym lub krótszym okresie dziejów wytycza linię polityczną określonego państwa, to oczywiście racja stanu może być z moralnością zgodna lub sprzeczna, zależnie od tej swojej treści. Póki racją stanu jest utrzymanie swego bytu w sprawiedliwie ustalonych granicach lub rozszerza-

nie ich drogą dobrowolnych unii, racja stanu jest nie tylko zgodna z moralnością, ale nawet bezpośrednio z niej wynika. Racja stanu Prus natomiast, nastawionych od samego zarania swych dziejów na grabież, jest przykładem racji stanu w założeniu swym niemoralnej.

Sedno rzeczy leży jednak w tym, że do celów godziwych można zdążyć środkami niegodziwymi i że dla wielu środki te właśnie racja stanu uświęca. W takim ujęciu stanowiłaby ona system norm układanych przez państwo wyłącznie pod kątem widzenia jego interesów, od moralności więc w zasadzie niezależnych, a w praktyce jakże często z nią sprzecznych. Że ludzkość współczesna odwróciła się już od racji stanu pojętej w taki absolutny sposób, tego najlepszym dowodem los, który w osobach Goeringa i towarzyszy spotkał wyznawców takiej jej postaci. Niechby w ten sposób zakończyła się epoka, w której jaskrawie racji stanu nadużywano, otwarła zaś nowa.

## I.

### Racja stanu a moralność

Problem stosunku moralności do racji stanu jest zresztą wynikiem nowożytnego rozwoju. W starożytności nie występował raz dlatego, że moralność pozbawiona chrześcijańskiej podbudowy nie stanowiła jeszcze tak sprecyzowanego i samodzielnego jak dzisiaj systemu norm; podporządkowanie zaś jednostki bez reszty celom społeczności było nakazem moralnym równie dobrze jak prawnym. Po wtóre nie przekraczały greckie społeczności granic, w których wszyscy niemal obywatele mogli znać się nawzajem. Szczupłość ta tak dalece zespalala obywatela ze społecznością i tak bezpośrednio pozwalała mu wnikać w jej sprawy, że nie odczuwał potrzeby prawnej konstrukcji państwa jako bytu odrębnego i rządzącego się odrębnymi także prawami.

Jeżeli podbój świata przez Rzym zmienił ten prosty stosunek obywatela do społeczności, to jednak *Urbs* pozostawała przez długi czas nie tylko stolicą Imperium w dzisiejszym tego słowa znaczeniu, ale jedyną jego racją bytu i jedynym symbolem.

Powściągliwość w rozszerzeniu kręgu rzymskich obywateli, a tym samym Rzymu miasta, miała też swe niewątpliwe źródło w tym, że umysłowość starożytna nie była przystosowana tak jak nasza do śmiałych abstrakcji. Gdy zaś rozrost Imperium sprawił, że symbol jego jedności, miasto Rzym, mógł wydawać się jego rozrzuconym na tysiącach mil poddanym zbyt odległym i mglistym, postawiono obok czy nawet zamiast niego osobę cesarza i nadano jej boskie atrybuty, byle tylko zadowolnić wyobraźnię ówczesnych ludzi.

Średniowiecze również nie wyszło poza te starożytne pojęcia i wyobrażenia. Najlepszym tego dowodem stosunek monarchy do poddanych, oparty na umowie i jego stosunek do terytorium państwa, pojmowany nie inaczej właściwie jak prawo własności. To ujęcie stosunków, które dziś uważamy za prawno-publiczne, w formuły prawa prywatnego, innymi słowy ten brak wyodrębnienia prawa publicznego i prywatnego pozbawiał akty władcy i tych, którzy w jego imieniu występowali, tego szczególnego prawnego znamienia, przyznanego dziś powszechnie aktom prawa publicznego. Pogląd taki tym łatwiej było przenieść w dziedzinę zagadnień moralnych, że i wtedy jeszcze nie stanowiły normy moralne systemu tak wyraźnie jak dziś od prawa wyodrębnionego. Powszechna moc obowiązująca tych norm, równość wszystkich wobec ich systemu mogła, bez względu na zadawane im i wtedy gwałty, znaleźć ogólne uznanie i zrozumienie łatwiej jak dziś, kiedy między normą moralną a jednostką sprawującą rządy niektórzy chcieliby postawić osobę prawną państwa i uzbroić ją przeciw normom moralnym w szczególne ekscepcje.

Jest rzeczą znamionną, że księga Macchiavella, ta ewangelia nowożytnej racji stanu, tkwi jeszcze całkowicie w owym archaicznym kręgu. Macchiavelli nie waha się nazwać po imieniu zła, które księciu w jego postępowaniu zaleca; nie mówi nawet, że cel uświęca środki, gdyż celu, który księciu stawia, wcale nie uważa za święty, twierdzi zaś jedynie, że kto chce go osiągnąć, musi stosować te właśnie środki: *qui veut la fin, veut les moyens*. Cynizm Macchiavella wydaje nam się tak potworny właśnie

dlatego, że jego rady mają księciu służyć dla zaspokojenia czysto osobistych ambicji i interesów, że nie są, jak np. u współczesnych dyktatorów, przybrane żadnym argumentem na rzecz dobra ogółu, choćby pojętego fałszywie, żadnym względem na służbę publicznej sprawie. Jeszcze Ludwik XIV ze swoim *l'Etat c'est moi* hołduje tej indywidualnej koncepcji państwa, zespolonego najściślej z osobą władcy.

Te starożytne i średniowieczne poglądy na stosunek państwa do moralności i prawa tym lepiej uwydatniają przemiany, którym stosunek ten uległ według nowożytnych poglądów. Dopiero Fryderyk II, najznakomitszy rzecznik oświeconego absolutyzmu, nazywając siebie pierwszym sługą państwa, uwydatnia jego odrębną i nawet w stosunku do władcy nadrzędną osobowość. Stąd bardziej jak z łaski bożej, której doba racjonalizmu nie chce już uznawać, czerpie monarcha uzasadnienie swej władzy. Król pruski mimo swych młodzieńczych tyrad przeciw *Macchiavello* wi był w swym działaniu niewątpliwie najzarliwszym i najrzęczniejszym jego wyznawcą. Najrzęczniejszym dlatego, że umiał cynizm swego mistrza z toru brutalnego egoizmu księcia przestawić na tor wiodący poprzez potęgę państwa do dobra poddanych. Pozostawał przez to w zgodzie z racjonalizmem swojej epoki, która bez szemrania, ba z największym uznaniem, przyjmowała wszelkie zdrożności fryderykowej polityki, skoro były usprawiedliwione wyższymi, a zgodnymi z filozofią wieku celami. Te właśnie cele ujmował Fryderyk jako rację stanu.

On też przyczynił się najbardziej do uformowania tego typu dyplomaty, który nam ks. Adam Czartoryski w swoim *Essai sur la diplomatie* (r. 1823) przedstawia jako człowieka przebiegłego, dwulicowego, bezlitosnego, przyjmującego za jedyną normę postępowania sukces, choćby na krótką obliczony metę. Do szkoły Fryderyka chodzili wszyscy dyplomaci epoki, która kończy się na roku 1814, nie wyłączając wielkich trybunów rewolucji francuskiej jak *Mirabeau* lub *Danton*. Rozbiory Polski były najbardziej klasycznym zastosowaniem jej zasad; ale ostatecznie ani porwanie i stracenie księcia d'Enghien przez *Napoleona*, ani zbombardowanie neutralnej Kopenhagi przez flotę angielską w r. 1807, ani depesza emska *Bismarcka* (1870), ani spo-

sób traktowania tzw. sprawy wschodniej przez wszystkie zainteresowane państwa — od wzorów jej nie odbiegaly.

Wydaje się jednak, jakoby w ostatnich czasach sami mężowie stanu i dyplomaci mogli powziąć wątpliwości, czy warto jeszcze stosować integralnie recepty *M a c c h i a v e l l a* polegające na oszukiwaniu silnych, a brutalnym gwałceniu słabych. Postępowanie takie jest połączone dziś z większym ryzykiem, zważywszy, że zwraca przeciw sobie opinię publiczną, która w stosunkach międzynarodowych coraz większą odgrywa rolę. Pogwałcenie neutralności belgijskiej w r. 1914, acz usprawiedliwiane racją stanu, stało się na pewno jedną z walnych przyczyn ostatecznej klęski cesarskich Niemiec chociażby przez to, że wyzwalo przeciw nim Wielką Brytanię. To samo można powiedzieć o bezwzględnej wojnie łodzi podwodnych, która uderzyła w neutralne przedtem Stany Zjednoczone. Wreszcie przebieg i wynik ostatniej wojny jeszcze jaśniej dowodzą, że brutalne podeptanie wszelkich zasad moralnych i prawnych nie wyszło na dobre tzw. Trzeciej Rzeszy. Zachodzi więc pytanie, czy proste i uczciwe trzymanie się zasad moralnych i prawnych nie jest we własnym interesie państw bardziej wskazane jak ślepe naśladowanie dawnych wzorów. Gdy może liczyć na wzajemność, daje taka polityka lepsze podstawy obliczalności, niż poleganie na samej przebiegłości i sile.

## II.

### **Znaczenie jedności podstaw moralnych**

Mówiąc o jedności podstaw moralnych w życiu prywatnym i publicznym nie wolno jednak zapominać, że tylko jednostka, a nie państwo, powinna kierować się w swoim postępowaniu względem na normy, których źródłem jest jej pozadoczesne przeznaczenie. Inaczej jak jednostka i jak Kościół, jest bowiem państwo instytucją, której byt poczyna i kończy się w doczesności, której zadania do niej tylko się ograniczają, skoro polegają na tym, aby społeczeństwu zapewnić najlepsze warunki kulturalnego i gospodarczego rozwoju. Zapewne, nie można zadań tych pojmować w ten sposób, aby hamowały przekraczające docze-

sność dążenia jednostek w państwie zrzeszonych. Kto jednak zadania owe państwu przypisuje i stąd wywodzi jego rację bytu, ten musi także uznać, że utrzymanie, że obrona tego bytu jest dla państwa — a raczej znowu jego przedstawiciele — koniecznością, która staje się regulatorem całego ich postępowania w znacznie wyższym stopniu jak u jednostek działających na swój wyłącznie rachunek. Jeżeli one mają prawo a niekiedy nawet obowiązek poświęcać się w imię zasad obowiązujących je z uwagi na ich pozadoczesne przeznaczenie, to źle pojmowaliby swoje zadanie ludzie kierujący państwem, poświęcając je dla podobnych względów. Sama moralna dopuszczalność wojny znajduje uzasadnienie w tej konieczności obrony bytu państwa, a nie tylko w tym, że społeczność międzynarodowa nie posiada organów uprawnionych rozstrzygać wszelkie spory między jej członkami, tak że w ostatecznych przypadkach czynnikiem rozstrzygającym staje się siła. Jakkolwiek byśmy jednak uzasadniali moralną czy prawną dopuszczalność wojny, sama potrzeba takiego uzasadnienia dowodzi, że jest ona narzędziem, o którego właściwym użyciu stanowi także moralność i prawo, a nie tylko sama racja stanu. Ona ma wyłącznie interes państwa na względzie, tamte normy biorą obok niego i w równej z nim mierze pod uwagę konieczność współistnienia i pokojowej współpracy wielu państw. Uznanie tych praw ograniczających samowolę skłoniło średnio-wiecznych scholastyków do szczegółowego opracowania problemu wojny sprawiedliwej, a współczesnych nam prawników i mężów stanu do prób ujęcia prawa do wojny w tak ścisłe karby, aby móc w każdej wojnie wytknąć bezprawnego napastnika.

Prawa do bytu, które państwu przysługuje, choć podlega luźniejszym ograniczeniom jak u jednostek, nie można więc pojmować w sensie biologicznej walki o byt. Z jednej strony mamy w przyrodzie walkę o byt, której przejawy opisujemy, z drugiej strony w społeczności międzynarodowej prawo państw do bytu, którego zastosowania oceniamy.

Nie twierdzimy więc bynajmniej, że jedność norm moralnych na tym polega, aby każda z nich we wszelkich możliwych okolicznościach znajdowała zawsze jednakie zastosowanie. Ale z dru-

giej strony nie sposób też uznać, aby państwo ze względu na swoje interesy, choćby najbardziej opacznie pojęte, stało poza moralnością, czyli — jak chciał Nietzsche — *jenseits von Gut und Böse*.

Trzeba bowiem pamiętać, że stosunek państwa do norm moralnych będzie wyrażał się zawsze w stosunku jednostek do tychże norm. Nic w tym nie zmienia nadludzkie znamię spływające na państwo z nauki Hegla, która widzi w państwie wcielenie obiektywnego ducha, a wywarła tak potężny wpływ na współczesne doktryny polityczne, zwłaszcza niemieckie. Bez względu na to wywyższenie państwa ponad ludzi, z których się składa, nie może ono w inny sposób przejawiać swej działalności jak tylko przez tych właśnie ludzi.

Kładąc nacisk na tę stronę naszego problemu, występując przeciw wspomnianym przerostom hipostazy państwa, ujmuje je francuski teoretyk prawa politycznego, Léon Duguit, wyłącznie jako ludzi, którzy nim rządzą, odmawia mu tym samym osobowości prawnej, którą uważa w ogóle za niepotrzebną fikcję. Jego teza z punktu widzenia prawnego idzie za daleko, ale przeniesiona w sferę moralną dobrze uwydatnia wyłączną moralną odpowiedzialność jednostek, chociażby w imieniu państwa występowały; pozwala przyjąć bez trudu jedność systemu norm moralnych dla życia prywatnego i publicznego, skoro występna w stosunku do nich jednostka może zasłonić się co najwyżej autorytetem sobie podobnych lecz nie autorytetem państwa, które dla norm moralnych w ogóle osobą nie jest.

Współczesna nauka jednak tak dalece spopularyzowała abstrakcję, z której wywodzi się państwo, że dziś nie trzeba uczonego, aby wiedzieć, że państwo to ani monarcha, ani prezydent, ani parlament, ani policjant, ale istota, która zapewne nie łatwo daje się przeniknąć, jednak odrębna i rzeczywista. Takie wyposażenie państwa w odrębną prawną osobowość nie jest bynajmniej, jak twierdzi Duguit, niepotrzebną fikcją ale niezbędną konstrukcją prawną, skoro dzięki niej ustalamy prawną odpowiedzialność państwa za działania ludzi, występujących w jego imieniu. Z punktu widzenia czysto prawnego (Kelsen) odrębna

osobowość prawną państwa oznacza właśnie jego zdolność przyjmowania na swój rachunek działań określonych jednostek w określonych z góry warunkach. Odpowiedzialności takiej nie możemy pominąć ani w stosunkach państwa z jego obywatelami, ani w stosunku do innych państw. Ale obarczanie prawną odpowiedzialnością państwa nie powinno moim zdaniem nawet w prawie pozytywnym wykluczać w każdym przypadku odpowiedzialności jego organów, a nie wyklucza jej w żadnym razie w dziedzinie moralnej.

Tymczasem pojęcia i konstrukcje zrodzone przez nowoczesną technikę prawną i dla niej istotnie niezbędne oddziałują także na sferę moralną, wywołując tu pewne pomieszanie pojęć. Działanie w cudzym imieniu, określane nazwą przedstawicielstwa (pełnomocnictwa), jest instytucją od czasów rzymskich jeszcze przez prawo wykształconą i każdemu prawnikowi dobrze znaną. Wykazuje ona jednak szczególne cechy, jeśli reprezentowanym podmiotem jest państwo. Podczas gdy normalnie przedstawicielstwo jest opartym na umowie stosunkiem między dwoma podmiotami prawa, reprezentującym i reprezentowanym, to G. Jellinek idzie w wyróżnieniu szczególnych cech reprezentacji państwa tak daleko, że reprezentująca je jednostka nie jest dlań w tym swoim charakterze wogóle odrębnym podmiotem. Jej stosunek do państwa można by analogicznie ująć jak stosunek członka, pozbawionego biologicznej samodzielności do żywego organizmu; stąd też nazwa organ wydaje się najbardziej właściwą.

Nie lekceważmy tych dociekań jako prawniczych subtelności nie mających z życiem i jego praktyką żadnego związku. Weźmy pod uwagę wielu uczniów, także poza Niemcami, wykształcił autorytet Jellinka, wielu z nich, choćby nawet nie zgłębili jego myśli, niejako podświadomie jej hołdowało nie tyle w tezach doktorskich i innych pracach naukowych, które mało kto czyta, ile w całym swoim poglądzie na świat. Takimi kanałami trafiają do ogółu teorie naukowe skądinąd mało dlań zrozumiałe, przenikają opinię publiczną, wydają stokrotny plon. Plonem nauki Jellinka, która zresztą stanowi tylko dalszy etap rozwoju rozpoczętego w epoce Odrodzenia, jest nagminne prze-



konanie, że ludzie, którzy w imieniu państwa występują, zwłaszcza ci, którzy nim rządzą, są z nim tak ściśle zespoleni, że ich indywidualna, moralna odpowiedzialność przepada niejako w jego moralnej suwerenności czyli w racji stanu oderwanej od moralności.

Oczywiście występuje tutaj wskazane poprzednio pomieszczenie chwytów techniki i konstrukcji prawnej ze sprawą moralnej odpowiedzialności. Jellinek istotnie trzymał się gruntu ściśle prawnego, choć i tutaj jego konstrukcja zbyt hołduje abstrakcji i niepotrzebnie zaciera prawną odpowiedzialność organów państwa.

Dziś jednak obserwujemy wyraźny odwrót od tych zbyt subtelných teorii. Najlepszym tego dowodem jest proces norymberski.<sup>1</sup> Jego ogromne znaczenie polega na tym, że wychodzi on z założenia osobistej odpowiedzialności oskarżonych za czyny, których dokonali w charakterze organów państwa, na jego rachunek, w jego interesie, pojętym zgodnie ze wskazaniami racji stanu pojętej fałszywie.

Chcąc oskarżonym poczytać za winę takie przestępstwa jak masowe mordy, deportacje, dręczenie więźniów w obozach koncentracyjnych itp. musiał trybunał opuścić grunt dotychczasowych koncepcji i uznać, że działanie na rachunek państwa, a raczej w interesie państwa, podlega nie tylko kryteriom racji stanu ale i prawa. Inna rzecz, że nie będzie to prawo pozytywne, które w myśl zasady *nullum crimen sine lege* musi brać pod uwagę, jakim ustawom oskarżeni podlegali w chwili popełniania przestępstwa. Były to ustawy Trzeciej Rzeszy, w których świetle oskarżeni byłiby raczej zasłużyli na wyróżnienie jak na potępienie. Podstawą wyroku może być więc tylko prawo naturalne, którego promienie, przenikając poprzez prawo pozytywne, trafiają w przestępców szukających ochrony poza jego zasłoną.<sup>2</sup> Trudności zwią-

---

<sup>1</sup> Problemy z nim związane przedstawia wyczerpująco i na podstawie źródeł praca CYPRIANA i SAWICKIEGO pt. *Prawo norymberskie*, Warszawa—Kraków 1948.

<sup>2</sup> Po tej linii idzie też cytowane tamże (s. 254) zdanie, które wypowiedział Lord Justice LAWRENCE (przewodniczący Trybunału Norymberskiego):

zane w tym przypadku z ominięciem zasady *nullum crimen sine lege* istnieją tylko dla tych, którzy kurczowo trzymają się pozytywizmu prawnego, którzy prawo pozytywne uważają za rozstrzygającą dla sumienia busołę, a nie widzą, że gdy prawo pozytywne czyli owa *lex*, zbyt formalistycznie i ciasno pojęta, jest zła i przewrotna, nie może nikogo zwolnić od odpowiedzialności za czyny, których nie piętnuje lub które nawet nakazuje.

Planowanie i przygotowywanie wojny, kolejne napaści na poszczególne państwa, poczynając od Polski a skończywszy na Związku Radzieckim, spisek przeciwko pokojowi z udziałem Japonii — to wszystko są czyny, które wykonuje jednostka w porozumieniu oczywiście z innymi. Ale nawet jeżeli w świetle norm prawa narodów (np. paktu Ligi Narodów lub paktu Kelloga) czyny takie mogły uchodzić za bezprawne, to według dotychczasowej teorii i praktyki odpowiedzialność za nie spadała wyłącznie na państwo, w którego imieniu je spełniono, gdyż tylko państwo uchodziło za odpowiedzialny podmiot prawa narodów. Dopóki nie uda się przełamać tej głęboko zakorzenionej tradycji, poza której sztańcem jednostki działające w imieniu i na rachunek państwa mogą się czuć całkiem bezpieczne bez względu na bezeceństwa, które w tym charakterze popełniają — dopóty nie ma mowy o sprowadzeniu zasad życia publicznego, zwłaszcza międzynarodowego, do jakiegoś moralnego mianownika.<sup>1</sup> Odpowiedzialność państwa bowiem, wyłącznie uznana przez tradycyjne prawo narodów, nie może dotyczyć przestępstw, które z natury rzeczy może popełniać tylko jednostka czyli osoba fizycz-

---

„Maksyma *nullum crimen* stanowi ... raczej ogólną zasadę sprawiedliwości, od której mogą być wyjątki. Zdarzenia obecne są niewątpliwie takim wyjątkiem”. Podobnie prokurator J. SAWICKI w procesie GREISERA (op. cit., s. 303): „Statut Międzynarodowego Trybunału w Norymberdze stwierdził, że podstawowe zasady moralne są silniejsze od prawa poszczególnych krajów”.

<sup>1</sup> Jak trudno przełamać tę tradycję, dowodzą wspomniane przez CYPRIANA i SAWICKIEGO (op. cit., s. 195) wątpliwości, które powstały w łonie amerykańskiego sztabu generalnego, a dotyczyły uznania wojny napastniczej za przestępstwo, konstrukcji spisku zbrodniczego oraz braku wyraźnego, a ugruntowanego w traktacie pokojowym upoważnienia do sprawowania sądu nad przestąpcami wojennymi.

na. Poza tym wiemy, że według równie głęboko jak tamta zakorzenionej tradycji państwo jest istotą, która wprawdzie we własnym interesie winna przestrzegać pewnych elementarnych zasad prawa, ale jest od nich wolna, gdy tak nakazuje racja stanu. Otóż na tle procesu norymberskiego występuje osobista odpowiedzialność jednostek za akty dokonane w sferze stosunków międzynarodowych, zgodne może z racją stanu, ale sprzeczne z prawem naturalnym, z którego norm jedynie możemy wysnuć tę odpowiedzialność.

Pojęta absolutnie racja stanu stępiła wrażliwość niektórych mężów stanu na głosy, choćby to były głosy opinii publicznej, nawołujące ich do przestrzegania zasad moralnych w życiu publicznym, zwłaszcza międzynarodowym. Sądzimy, że stały międzynarodowy trybunał, wychodzący z założenia ich osobistej odpowiedzialności i powołany do karania ich wykroczeń przeciw międzynarodowej moralności, mógłby jedynie skutecznie zapewnić posłuch jej nakazom. Warto przytoczyć tutaj oświadczenie amerykańskiego sędziego Roberta H. Jacksona w dniu podpisania (8 sierpnia 1945 r.) umowy londyńskiej, ustanawiającej międzynarodowy trybunał wojskowy w Norymberdze: „Po raz pierwszy w historii cztery najpotężniejsze narody doszły do porozumienia nie tylko co do zasady odpowiedzialności za zbrodnie wojenne i zbrodnicze prześladowania, lecz także i co do zasady osobistej odpowiedzialności za zbrodnie naruszenia międzynarodowego pokoju... Jeśli zdołamy utrwalić w świecie przekonanie, że wywoływanie wojen agresywnych prowadzi raczej na ławę oskarżonych niż do zaszczytów, możemy powiedzieć, że zrobiliśmy wiele w dziedzinie zapewnienia pokoju”.<sup>1</sup>

### III.

#### Nowe podstawy ustroju międzynarodowego

Aczkolwiek ostatecznym regulatorem wzajemnych stosunków państw pozostawała zawsze racja stanu, to jednak do r. 1914,

---

<sup>1</sup> Przytoczone u CYPRIANA i SAWICKIEGO, s. 201.

a także w pierwszych latach okresu międzywojennego zasięg jej wpływów cofnął się wyraźnie na korzyść prawa; a raczej przestrzeganie prawa było w wysokiej mierze zgodne ze wskazaniami racji stanu. Być może, że objaw ten był niejako odbiciem praworządności ugruntowanej w granicach poszczególnych państw pod wpływem haseł rewolucji francuskiej i dzięki uznaniu nie naruszalnych praw obywateli. Ale ta przewaga prawa była chwiejna i pozorna. Wszak poszanowanie prawa jest tylko wtedy gwarancją trwałego porządku w stosunkach społecznych, gdy wynika z silnie ugruntowanego w każdym z nas przekonania, że posłuch mu się należy bez względu na naszą doraźną korzyść. To przekonanie, które nam sumienie narzuca, nie tylko wiąże prawo z moralnością, ale je wprost od niej uzależnia. W dyplomacji natomiast właśnie doraźna korzyść i tylko ona była zawsze rozstrzygającą pobudką posłuchu dla prawa.

Zgodność między interesem państw a uległością prawu w minionym okresie tłumaczy się najpierw niebywałym dotąd rozwojem i daleko idącą swobodą międzynarodowych stosunków ekonomicznych, które w mniejszym lub większym stopniu bogaciły każde państwo, ale zmuszały je także do zachowania elementarnych przynajmniej zasad prawa. One także utwierdzały poczucie wzajemnej współzależności państw, ich gospodarczej solidarności, która prawu dostarczała jeszcze mocniejszego oparcia. Nic równie dobrze nie uwydatnia tej jej roli jak zgubne dla prawa i pokoju skutki, które sprowadziło dążenie poszczególnych państw (zwłaszcza Niemiec i Japonii) do wyzwolenia się z więzów współzależności czyli do gospodarczej autarkii.

Nie przeceniamy bynajmniej znaczenia tych gospodarczych względów jako czynników wzmacniających znaczenie prawa; stwierdzamy tylko, że w pewnym okresie i dzięki szczególnym warunkom oddały one prawu i pokojowi niewątpliwe usługi, a mogą je oddać i w przyszłości. Wszak doświadczenia ostatniej wojny dowiodły, że niebezpieczne dla pokoju dążenia do sztucznej samowystarczalności gospodarczej nie uchroniły od druzgocącej klęski żadnego państwa ani wielkiego, ani małego. Już w czasie pokoju natomiast dały się przeciętnemu obywatelowi

dobrze we znaki. Zwycięstwo przypadło tym mocarstwom, którym jak Stanom Zjednoczonym, Związkowi Radzieckiemu i Imperium Brytyjskiemu samowystarczalność gospodarczą zapewniają już same przestrzenne rozmiary, geograficzne położenie i naturalne zasoby. Ale pokojowy i zgodny z prawem rozwój stosunków międzynarodowych w przyszłości zależy od tego, aby uprzywilejowane w ten sposób mocarstwa nie strzegły zazdrośnie swych monopoli, lecz pozwoliły każdemu korzystać w dostatecznej mierze z podstawowych surowców, którymi rozporządzają i z dostępu do słabo zaludnionych obszarów które kontrolują. Spraw tych jednak nie można uregulować niezależnie od zbiorowego bezpieczeństwa, skoro mocarstwa uprzywilejowane, muszą mieć pewność, że dostarczane przez nie surowce nie zamienią się na broń przeciwko nim samym, że otwarte przez nie dla obcej imigracji obszary nie zaludnią się niebezpiecznymi elementami. Ufajmy, że trwale obezwładnienie notorycznych burzycieli pokoju pozwoli Organizacji Narodów Zjednoczonych spełnić zadanie, którego Liga Narodów spełnić nie zdołała.

Przeciw jednostkom, którym z takich czy innych powodów samo sumienie nie dyktuje posłuchu dla prawa, stosuje porządek prawny mniej lub więcej dotkliwy dla nich środki. Wedle poglądu dość rozpowszechnionego nawet wśród prawników, prawo narodów nie może uchodzić za prawo *stricto sensu*, ponieważ sankcji takich nie wymierza. Zachodzi tu nieporozumienie, gdyż prawo narodów niewątpliwie zna i uznaje sankcje, nawet bardzo dotkliwe w postaci tzw. represaliów lub zgoła wojny. Nie brak sankcji jest więc usterką w systemie prawa narodów lecz to, że zamiast ich zastosowanie i wymiar z góry określić oraz powierzyć umyślnie do tego ustanowionym organom, oddaje je, jak to czynią wogóle pierwotne porządki prawne, w ręce samych pokrzywdzonych.

Obawa przed taką samopomocą będzie jednak tylko dla słabych wystarczającą pobudką poszanowania cudzych praw. Zawodzi wobec silnego, który chce słabych pokrzywdzić. Jakżeż często zdarzało się, że—jak mówi Pius XII w przemówieniu wi-

gilijnym 1939 r.—<sup>1</sup> „wola życia jednego narodu równała się wyrokowi śmierci na drugi”. Co prawda, aby uniknąć ciągłych gwałtów ułatwionych przez tak niedoskonały porządek, sami silni czyli wielkie mocarstwa, znalazły wybieg w postaci tzw. systemu równowagi. W nim nawet słaby znajdował względną ochronę, skoro zamach przeciwko niemu dokonany przez jedno z wielkich mocarstw inne skłonne były udaremnić z obawy przed nadmiernym, a więc niebezpiecznym dla nich samym wzmocnieniem rywala. Turcja, jak wiadomo, przez sto lat z górą korzystała z dobrodziejstw tego systemu. Trwała i zagwarantowana przez wielkie mocarstwa neutralność Szwajcarii i Belgii była jego narzędziem. Ubiegłe lata XX wieku dowodzą jednak, jak niedoskonałą gwarancją trwałego pokoju on sam stanowił. Nie mówimy już o tym, że sama równowaga opierała się na wielu krzywdach, wśród których rozbiory Polski zajmują pierwsze miejsce. Utrzymuje się co więcej nie dzięki przekonaniu, że jest zgodna z prawem i słuszna, ale tylko z obawy przed siłą, która stoi na jej straży. Państwo, które na nią nastaje, znajdzie jednak zawsze takie środki jak pokojowe zjednoczenie z pobratymcami, sojusze wojskowe, rozwijanie potencjału wojennego, które nie naruszając prawa, naruszają równowagę a wreszcie uzdolnią je do zbrojnego zamachu na pokój i prawo.

Rażące braki, które porządek prawa narodów wykazuje w porównaniu z innymi porządkami, nie od dziś stały się punktem wyjścia wielu projektów reform. Jeden z nich doczekał się urzeczywistnienia w pakcie Ligi Narodów. Zawód, który ona sprawiła, nie powinien wypaczać sądu o jej niewątpliwych wartościach. Nie naruszając zasady suwerenności państw, wymagał jej pakt jednomyślnej decyzji we wszystkich sprawach poza czysto proceduralnymi. Równocześnie jednak zobowiązywał członków Ligi do poddawania wzajemnych sporów procedurze bądź pojednawczej, bądź rozjemczej, ułatwiał dzięki temu rozpoznanie napastnika i przewidywał zastosowanie przeciw niemu sankcji natury bądź moralnej (np. wykluczenie z Ligi), bądź gospodarczej,

---

<sup>1</sup> *Acta Apostolicae Sedis*, vol. XXXII, s. 10.

bądź wreszcie militarnej. Nie wykluczał wprawdzie w sposób bezwzględny wojny, ale zamiast niej podsuwał członkom możliwość pokojowej rewizji traktatów. Patrząc dziś z pewnej perspektywy na to dzieło, można podziwiać pozbawiony wszelkiego doktrynerstwa rozum polityczny, który jego twórcami kierował.

Bądź co bądź jednak podstawą trwałości każdego systemu prawnego musi być odpowiednia siła. Pakt Ligi Narodów czynnika tego bynajmniej nie pomijał, starając się nawet siłę stojącą na jego straży ująć w pewne karby, zamiast zostawiać użycie jej całkowicie uznaniu zainteresowanych. Czego jednak twórcy paktu nie przewidzieli i zapewne nie mogli przewidzieć to wycofania się Stanów Zjednoczonych od udziału w Lidze. Okoliczność ta ośmieliła czynniki niezadowolone ze stanu rzeczy ustalonego w traktatach pokojowych, a zagwarantowanego poniekąd przez pakt Ligi. Winą mężów stanu kierujących polityką czołowych członków Ligi było, że nie uwzględniwszy tego ubytku siły, nie starali się wyrównać go własną zdecydowaną i odpowiednimi środkami popartą postawą, lecz przez swą bierność i miękkość sami zachęcali do wystąpień niebezpiecznych dla pokoju.

Karta Narodów Zjednoczonych stara się unikać usterek tkwiących u podstaw Ligi Narodów, zapewnić sobie siłę moralną i fizyczną, którą Liga nie rozporządzała. Siły tej mogą dostarczyć tylko wielkie mocarstwa w praktyce państwa anglosaskie i Związek Radziecki, pod warunkiem oczywiście, że potrafią odpowiednio zgrać się ze sobą. Jeśli nawet Karta Narodów Zjednoczonych przyznaje przeważający wpływ wielkim mocarstwom w wyższej mierze niż to czynił pakt Ligi, to stanowisko jego uważamy za słuszne. Uwzględnia bowiem rzeczywiste stosunki i doświadczenia ostatniej wojny, które dowiodły, że tylko najpotężniejsze pod względem obszarów, ludności i zasobów państwa są w stanie stawić czoło agresji. Zadanie zapobiegania czy udaremnienia jej w ramach Organizacji Narodów Zjednoczonych siłą rzeczy spadnie na te właśnie państwa; słusznym wydaje się zaś, aby większej odpowiedzialności odpowiadały też większe uprawienia.

Kierunek rozwoju stosunków międzynarodowych wyznaczają w każdym razie dwa współzawodniczące ze sobą czynniki: solidarność, wzmacniająca znaczenie prawa oraz suwerenność, w której znajduje wyraz dążenie, aby uniezależnić państwo od prawa. Bez względu na warunki, które mogą zapewnić a w ciągu XIX wieku rzeczywiście zapewniły, przewagę solidarności, musieliśmy stwierdzić, że w ostatnim rzędzie decyduje o tym zawsze racja stanu. Ona poszanowanie prawa dyktuje państwu w danych warunkach jako zgodne z jego interesem, tak jak w innych pozwala mu sądzić, że może je przełamać. Doceniając w pełni znaczenie, które dla wszelkiego prawa posiada siła, trudno zaprzeczyć, że z reguły przeważające przekonanie o zgodności prawnego porządku z moralnym odgrywa w jego skuteczności co najmniej taką samą rolę jak siła. Najlepszy w tym dowód, że zależność prawa od moralności jest nie tylko pobożnym życzeniem filozofów czy teologów ale na ogół—wbrew stanowisku pozytywistów—odpowiada rzeczywistości. Pobożnym życzeniem była natomiast dotąd w ustroju społeczności międzynarodowej, skoro państwa uznawały prawo o tyle tylko, o ile było wykładnikiem siły. „Prawdziwy pokój jednak nie jest arytmetycznym jakby rezultatem wzajemnego stosunku sił, ale w swoim ostatecznym i najgłębszym znaczeniu aktem moralnym i prawnym. Nie może się wprawdzie utrzymać bez pomocy siły... ale właściwym zadaniem tej siły, jeśli chce być moralnie prawą, to nie upośledzanie i łamanie prawa, ale jego pielęgnowanie i obrona”.<sup>1</sup>

Takie właśnie zadania miała spełnić siła w pakcie Ligi Narodów; takie same są jej zakreślone w karcie Narodów Zjednoczonych, która z góry wyznacza warunki zastosowania siły, nie pozostawiając tej sprawy, jak pospolite prawo narodów, swobodnemu uznaniu państw. Gdyby karta mogła przez dłuższy czas sprawnie działać, może ugruntowałaby wreszcie w społeczności międzynarodowej takie poszanowanie prawa, które płynie raczej z pewnej moralnej sprawności, (z tego, co teologia moralna na-

---

<sup>1</sup> Pius XII w orędziu radiowym z 24 grudnia 1943 r., *Acta Apostolicae Sedis*, vol. XXXVI, s. 23.



zywa *habitus*) jak z kalkulacji. Podobnie bowiem jak moralność i nabyte dzięki jej ćwiczeniu sprawności, są najsilniejszą podstawą prawa, tak na odwrót prawo poparte siłą bywa często czynnikiem wzmacniającym taką sprawność moralną.<sup>1</sup>

Nie gardzimy zresztą żadnym ze środków, które nawet w dotychczasowym ustroju społeczności międzynarodowej dawały przewagę solidarności w porównaniu z suwerennością. Zaliczmy tutaj nawet niedoskonały skądinąd system równowagi, tymbar-dziej usprawnienie gospodarstwa światowego przez większą swobodę obrotów handlowych, która pozbawi sensu dążenia do gospodarczej autarkii, tak ściśle związanej z suwerennością.

Wszystko to jednak są środki połowiczne. Nawet nadzieje pokładane w Organizacji Narodów Zjednoczonych okażą się płonne, jeżeli wielkie mocarstwa nie potrafią współdziałać. Odnosi się do nich zresztą zawsze można postawić niepokojące pytanie: *quis custodiet ipsos custodes?* Prawdziwie tragicznie brzmią w związku z tym słowa Piusa XII, wypowiedziane do kardynałów 1 czerwca 1946 r.:<sup>2</sup> „Jakżeż przedwczesną (by nie powiedzieć złudną) wydaje się dzisiaj nadzieja, że wszyscy bez wyjątku mężowie odpowiedzialni, nauczeni krwawym doświadczeniem wojny, dadzą dowody najwyższej odrazy wobec wszelkiej idei despotyzmu, wobec wszelkiej próby narzucania siłą panowania innym narodom. W prawym i właściwym zachowaniu silnych wobec słabych znajduje wyraz szczery odwrót od ducha imperia-lizmu i tyranii, rzeczywiste przyjęcie zasad sprawiedliwości”.

To też sądzimy, że prawdziwej i trwałej reformy stosunków międzynarodowych i całego ustroju międzynarodowego można spodziewać się tylko po reformie dusz i umysłów. Albowiem „nawet lepsze i bardziej wyczerpujące reguły pozostaną niedoskonałe i skazane ostatecznie na niepowodzenie, jeśli ci, którzy kie-

---

<sup>1</sup> „Jeśli kto najpierw pod wpływem strachu przed karą przyzwyczai się do unikania zła a spełniania dobra, dojdzie niekiedy do tego, że z przyjemnością i z własnej woli tak postąpi; stąd więc prawo siłą kary doprowadza ludzi do tego, aby byli dobrzy”. Św. TOMASZ, *Summa theol.* I, 2 qu, 92, art. 2.

<sup>2</sup> *Acta Apostolicae Sedis*, vol. XXXVIII.

rują losami narodów i narody same nie ulegną wpływom owego ducha, który sam jeden może dać życie, powagę i moc wiążącą martwej literze paragrafów w traktatach międzynarodowych; wpływom dalej owego poczucia wewnętrznej i dojmującej odpowiedzialności, która ustawy ludzkie mierzy i waży według świętych i niezachwianych norm boskiego prawa; wpływom wreszcie owego głodu i pragnienia sprawiedliwości, które Kazanie na Górze zalicza do błogosławieństw, a których naturalną podstawą jest moralna sprawiedliwość.<sup>1</sup>

Z drugiej strony cały kierunek wychowawczy w ostatnich dziesiątkach lat był naszym zdaniem zbyt nastawiony na kult państwa, zbyt podkreślał jego nadrzędność w stosunku do człowieka. Rozumiemy, że tkwiła w tym uzasadniona reakcja przeciw prądom liberalnym i indywidualistycznym poprzedniego okresu, że wysuwając wbrew nim towarzyską i społeczną stronę natury ludzkiej, stawiano też na pierwszym miejscu płynące stąd społeczne obowiązki a wśród nich, znowu na pierwszym miejscu, obowiązki wobec państwa. Zdaje się jednak, że jak w wielu innych tak i w tym przypadku reakcja przekroczyła właściwą granicę, dochodząc w rezultacie do totalizmu. Znajdowała przy tym poparcie we wspomnianej już poprzednio filozoficznej i prawniczej myśli, która państwo odrywa niejako od ludzkiego podłoża, a stworzoną w ten sposób abstrakcję wyzwała od wszelkich reguł, obowiązujących między ludźmi. W tej myśli znajdowała najlepszą pożywkę racja stanu jako system przeciwstawiający się moralności.

Zdajemy sobie w pełni sprawę jak niezmierne trudności piętrzą się w tych warunkach przed ową reformą dusz i umysłów, od której jedynie można oczekiwać ugruntowania moralnych podstaw ustroju społeczności międzynarodowej. Uważam jednak, że bez względu na te trudności trzeba wyraźnie uznać humanizm za jedynie skuteczną broń przeciw totalistycznym prądom. Wszak humanizm i to chrześcijański wychodzi z za-

---

<sup>1</sup> Pius XII, allokucja z 24. XII. 1939. *Acta Apostolicae Sedis*, vol. XXXII, s. 11.

łożenia nieskończonych wartości osoby ludzkiej, która zarówno przez swój początek jak i ostateczne przeznaczenie wykracza poza ramy wszelkiej organizacji społecznej, nie wyłączając państwowej. Podporządkowanie jej człowieka bez reszty stanowi zapoznanie hierarchii wartości, przewrót w celach, stawiający człowieka w rzędzie środków, którymi państwo może w swych dążeniach posługiwać się bez ograniczeń.

Chrześcijański humanizm w inny sposób pojmuje obowiązującą człowieka służbę społeczną. Wychodzi z założenia moralnej odpowiedzialności człowieka za własne udoskonalenie, które bez ofiarnej służby ogółowi nie da się pomyśleć. Służbę tę można i należy pełnić w każdym zawodzie i na każdym stanowisku. Służba państwowa, nawet na stanowiskach kierowniczych, jest tylko jedną z jej postaci. Przyjmując nawet, że kryteria moralne dla czynów podjętych w służbie państwa mogą być różne od tych, które obowiązują jednostki w ich prywatnej sferze, to przede wszystkim musimy pamiętać, że takie kryteria w ramach służby państwu także istnieją, że nawet kierownicy państwa ponoszą za swoje czyny pełną moralną odpowiedzialność. Obnażyć tę odpowiedzialność z osłony rzekomej racji stanu, poza którą nieraz się kryje, zerwać z tym rozdwojeniem sumień, które ona ma usprawiedliwiać — to właśnie znaczy także państwo shumanizować.

Wtedy jednak trzeba mieć także odwagę wyzwolić się od krępującego nas wszystkimi przesądu *right or wrong — my country* i umieć — tak jak umiał Fr. W. Foerster — piętnować posunięcia, które bez względu na swą możliwą zgodność z własną racją stanu na potępienie zasługują. Taki przewrót w pojęciach nie może jednak obyć się bez gorzkiej nieraz rezygnacji z własnych upodobań czy nawyków. Dążyć do wyzwolenia w sobie i otoczeniu pełni człowieczeństwa oznacza pracę nie tylko trudną lecz nieraz bolesną. Założeniem humanizmu nie jest czysty duch, lecz człowiek złożony z duszy i ciała wraz ze wszystkimi materialnymi ograniczeniami, które stąd wynikają. Jego metodą wychowawczą — nie ignorować tych ograniczeń lecz podporządkować je duchowi. Materia indywidualizuje, to jest dzieli ludzi —

duch łączy ich wbrew materii, on jest źródłem wspólnego im wszystkim języka. Wśród czynników indywidualizujących obchodzą nas szczególnie te, które wyznaczają przynależność człowieka do określonego narodu i państwa. Na wynikające stąd dla niego obowiązki jużesmy poprzednio wskazali. Duch dba o to, aby je pełnił nie jak maszyna czy zwierzę lecz z wolnej, odpowiedzialnej i oświeconej rozumem woli. Tutaj właśnie napotyka na zakorzenione w materii, a umocnione przez wychowanie i propagandę przesady i nawyki, których wyrwanie jest dla całego naszego jestestwa, jest zwłaszcza dla miłości własnej, operacją ciężką i bolesną. One to jednak sprawiają, że zaślepienie miast miłości reguluje przywiązanie do swoich, że za warunek jego uchodzi często niechęć, a w ostatniej potrzebie nienawiść do obcych.

Trzeba więc zjednoczyć we wszystkich krajach ludzi pojmujących humanizm tak jak wyżej wskazano. Zjednoczenie takie właściwie już istnieje. Stanowią je katolicy, którym w obozie integralnie pojętego humanizmu z natury rzeczy powinna przyspaść przodująca rola.

HENRYK DEMBIŃSKI

## THE MORAL BASIS OF THE INTERNATIONAL ORDER

From the fact that the aims the state is tending at are different from those the individual is serving, many people draw the conclusion that the State is not bound in its doings by any moral norms but only by the reason of state (*raison d'état*). All state activities, however, are finally accomplished by individuals. Therefore, there is no reason why their moral responsibility should be absorbed by the alleged moral sovereignty of the state, in other words by the *raison d'état* independent of all morality. In view of the exclusively temporal aims of the state individuals acting as its organs may be subject to other

norms than those which bind them when they are acting on their own behalf. This does not mean, however, that the state and its organs stand „jenseits von Gut und Böse“ (beyond good and wrong). There were periods in history, and the XIXth century is among them, when the *raison d'état* ordered the states to act in accordance with the law. But the basis of a law are weak, if it is obeyed only as long as one's interest requires such an obedience. Attempts to enforce the law by means provided for in the Covenant of the League of Nations and the Charter of the U. N. O. could strengthen the law only, if the international force would prove really effective and if such organisations could exercise their influence for a sufficiently long time. More important, however, than the reform of the structure of the international community is the reform of human souls and human minds. Man must get used to seeing in the organs of the state human beings who bear a full moral responsibility for their acts even when accomplished on behalf of the State. This would mean to humanise the state and to bring a more humane note into the international relations. The Catholic Church has always put forward these demands and Catholics in all countries should be the first to grasp their meaning and to give them real force.